

Artur Gruszecki.

Po ślubie.

1

Przed lustrem w sypialnym pokoju, gdzie stały dwa łóżka jeszcze niezastane, pani Romana Winecka kończyła czesanie, fryzowanie i modne upinanie bujnych, ciemnych włosów. Wpatrywała się w lustro, badając z krytycznym niezadowoleniem nieliczne piegi, które jej zdaniem specyły białą cerę twarzy i postanowiła przy pierwszej sposobności poradzić się w aptecę i kupić jakiś środek przeciw piegom.

Twarz jej młoda i świeża miała w chwili badania swej cery wyraz przyjemnego zainteresowania. Białymi, trochę grubymi palcami wpięła we włosy ozdobny grzebień; przyjrzała się sobie z profilu, oczyściła konchę uszną z naleciałości pudru i bacznie przyglądała się białym zębom i ładnej, okrągłej szyi.

Z zadowoleniem sprawdziła, że ma ładniejsze zęby i szyję, aniżeli jej przyjaciółka, Natalcia, tylko te piegi! I jaka to niesprawiedliwość losu! Natalcia blondynka, a chociaż z reguły każda blondynka powinna mieć piegi, Natalcia nie ma! Natomiast ona szafynka, a z każdym nastaniem wiosny zjawiają się piegi! Wczoraj było ich tylko dziesięć, a dziś już szesnaście! Z pewną zazdrością pomyślała, że zapewne gdzieś istnieje kraj bez wiosny i lata, i gdyby tam mieszkała, nie miałaby piegów.

W sąsiednim pokoju zegar ze zgrzytem zaczął wydzwaniać godzinę. Liczyła uważnie. Zegar wydzwonił jedenastą. Poruszyła się niespokojnie, jeszcze raz spojrzała w lustro i wstała z krzesła szepcząc:

— Boże! Tak późno!

Już wstała, w ten promień słońca rozświetlił pokój i ujrzała w lustrze, że nos jej błyszczy. Usiadła i zaczęła pudrować nos. Przy tej sposobności dojrzała, że na górnej wardze jest kilka ciemnych włosków, które nakryła pudrem, odkładając na później ich wyrwanie. Spojrzała też, że szluznie rozwichrzona fryzura układa się w normalne pasma, poprawiła ją i nareszcie zdecydowała się porzucić lustro.

Zapięła na guziczek biały, zmięty kaftanik i w halce brudnawej, w pantoflach przydeptanych pospieszyła przez tak zwany salonik i przez jadalnię do przedpokoju, a z niego do kuchni.

— Marcinowo! Zupa nastawiona?

— Kiedyż miała być? — odparła flegmatycznie, — niedawno przyszedłem.

— Ależ to po jedenastej, kiedy będzie obiad?

— Będzie, będzie, — wyjmowała z torby zakupy, — ależ drogo... niczego nie można się dokupić.

Zegar wydzwonił pół do dwunastej.

— Słyszysz Marcinowa? Już pół! O, Boże! co będzie z obiadem? Dlaczego Marcinowa tak późno przychodzi?

Służąca spojrzała złośliwymi oczyma na panią, zmarszczki na jej twarzy ułożyły się w drwiąco pokorny uśmiech i zaczęła:

— A czy to moja wina? Wstałam raniusieńko, pomodliłam się, zrobiłam kawę, podałam panu i czekałam póki pani się nie obudzi i nie zażąda kawy. Posprzątałam pokoje akuratnie, a pani spi i śpi. Mój Boże, to ci dopiero pani się wysypia, — westchnęła.

Pani, przeglądając przyniesione z miasta sprawunki, powiedziała popędliwie:

— Co mi Marcinowa wypomina mój sen? Siedziała Marcinowa przeszło dwie godziny w mieście, można było cały Kraków kupić!... Pan przyjdzie i nie będzie obiad gotów.

— Niby to pan przychodzi akuratnie, — mruknęła, szykując się do zajęcia.

— To nie należy do Marcinowej, obiad powinien być w swoim czasie.

— Będzie, będzie, niech się pani nie turbuje, jeszcze trzeba będzie odgrzewać.

— Niech Marcinowa nastawia, przyjdę i obaczę.

— Dobrze, dobrze, — zamruczała, — a kiedy mam posprzątać pokój sypialny?

— Powiem później, teraz nie można.

Idąc do sypialnego, przystanąła przy oknie w jadalnym pokój i spojrzała na brukowane podwórze z anemicznymi krzewami, których pędy i gałązki zaczęły wypuszczać słabe, żółtawo-zielone listeczki, był to bowiem koniec kwietnia.

Przez otwarte okna przeciwległej oficyny widać było krzątające się i hałasujące dzieci.

Z zadowoleniem pomyślała, że dotychczas nie miała dziecka, chociaż minęło już trzynaście miesięcy od ślubu. Możliwość zostania matką napelniała ją troską i trwogą. Obawiała się następstw niemiłych, zepsucia ładnej figury i kształtów ciała, gdyż tylko swej zgrabnej postaci i świeżej, dość ładnej twarzyczce zawdzięczała, że wyszła za mąż za człowieka w stosunku do niej zamożnego i mającego pozycję w towarzystwie, był bowiem przedsiębiorcą budowlanym.

Córka wdowy, utrzymującej się z małego sklepuku materiałów piśmiennych i wyrobów tabaczknych, uważała za wielkie szczęście i niezwykły zaszczyt swe zamażpójście za Wineckiego. Jako narzeczona i jako młoda mężatka, po ślubie, cieszyła się, iż skończyły się dni biedy, sztukowania, łańcia i przerabiania sukien, żakietów, paltocików i bucików. Teraz dopiero, po ślubie, będzie używała dostatku w sukniach, strojach, kapeluszach i rozrywkach.

I pierwsze miesiące po ślubie prawie nie zawiodły jej oczekiwań, ale stopniowo mąż stawał się oporniejszy, narzekał na wydatki wielkie, skąpił i ze względu na koszty zaprzestał bywania z nią na publicznych zabawach.

Dziś jednak przyrzekł, że popołudniu wyjdą na miasto, wstąpią do cukierni, w której grywa muzyka, i wogóle dzień zapowiadał się bardzo przyjemnie. Uśmiechnęła się ucieszona tą miłą perspektywą i zaczęła przemyśliwać jaką suknię dziś włożyć.

Podeszła do szafy i wyjęła dwie suknie spacerowe. Kostium ciemny uznała za niewłaściwy na pogodny dzień wiosenny, chyba weźmie ten żółtawo-czarny, i krawatkę ponsową, w której jej tak do twarzy.

Ale kapelusz! Ten był jej zmorem od dwóch miesięcy. W zeszłym roku kupiła sobie modny kapelusz, bardzo jej się podobał, był bowiem niezwykle fasonu, wielki, ubrany kwiatami i piórami. Budził on podziw i zazdrość jej znajomych, ona zaś była dumna ze swego wyboru.

Niespodzianie na początku marca doszły ją wieści, że wielkie kapelusze zostały zarzucone i żadna szanująca się kobieta nie bierze ich na głowę. Nastąpiła nagła zmiana i przyzwyczajenie nakazywała ubierać się w małe kapelusiki fantazyjnych form i fantastycznie ubrane. Ile razy spojrzała teraz na wielkie pudło z kapeluszem stojące w rogu sypialni, żal ścisnął jej serce na wspomnienie wydatku przeszło pięćdziesięciu koron i to na nic, bo ten kapelusz tyle warta, co pierwszy lepszy łachman. Jeszcze w końcu marca pocieszała się nadzieją, że on da się przerobić i zaniósł go do modystki. Ta jednak, obojętniejszy go, powiedziała z drwiącym uśmiechem:

— Proszę pani, to fason odwieczny i może służyć jako okaz dziwactwa, nic z niego nie da się zrobić.

— Ale te kwiaty... pióra...

— Kwiaty takie wyszły z mody zupełnie i pióra takie również.

Rzecz oczywista, że Romcia, rozgniewana tą bezwzględą krytyką jej kapelusza, uważała modystkę za kobietę głupią, zarozumiałą i bez taktu. Wysłała oburzoną, lecz miała tę pociechę, że na Plantach zobaczyła kilka kobiet, co prawda nie zbyt eleganckich, które nosiły trochę podobne do skrytykowanego kapelusze.

W domu miała swój dawny, panieński, średnich rozmiarów, schowany w kufrze. Wyjęła go, ubrała jak umiała, ażeby jakoś doczekać się chwili kupienia innego, modnego, gdy mąż będzie w dobrym humorze.

Co prawda, próbowała kilkakrotnie nakłonić męża na kupno nowego kapelusza, ale bez skutku, gdyż była tak nieostrożna, czego nie mogła odżalować, iż pochwaliła się przed mężem przeróbką swego panieńskiego kapelusza, a mąż, ucieszony jej zdolnością kapeluszniczą, oświadczył, że ten kapelusik jest prześliczny i o nowym nie chciał nawet słyszeć.

Dziś jednak, gdy wyjdą na miasto, miała nadzieję, że nareszcie przekona go, iż nowy kapelusz jest nieodzowny. Nie miałby chyba oczu, gdyby nie zobaczył, iż jej kapelusz jest wprost niemożliwy i naraża ją na śmieszność.

Wybiła dwunasta godzina. Szybko zaczęła się ubierać. Wzięła bluzkę, którą mąż chwalił, spodnicę domową, lepsze pantofle i poszła do kuchni, ażeby dopilnować obiadu.

Wiedziała z rad matki i ciotek, a także od znajomych mężatek, że najpewniejsza droga do pozyskania męża prowadzi przez zmysł smaku.

Dziś też zarządziła zupę pomidorową, rozbratle z nowalią, bo z młodem kartoflami, i suflet pomarańczowy, ulubione potrawy męża.

Marcinowa posprzątała w pokoju sypialnym wróciła i zaczęła gderać, że pani zupę przesoliła, że zaczęła smażyć rozbratle zawczasie, i pani cofnęła się do pokoju.

Minęła pierwsza godzina, Romcia zauważyła niepościerane kurze, zajęła się porządkiem, nasłuchując wejścia męża. Już było trzy kwadransy na drugą, męża niema. Zniecierpliwiła się i dokuczał jej głód. Przypomniała sobie, że ma w pudełku kilka cukierków, ofiarowanych jej przez Bolesława Rachmackiego, wcale miłego młodzieńca, który szukał jej towarzystwa i wpatruje się w nią jak w obraz.

Gryzła cukierki smakując i może przez wdzięczność za te słodczyce zaczęła rozmyślać o nim.

Przystojny i bardzo uprzejmy, ale jaki nieśmiały! Rumieni się pod jej spojrzeniem, rękę ledwie śmie ucisnąć, a jaki był przestraszony, gdy podawał pudełko cukierków, a ona nie chciała przyjąć.

Jak on słodko spytał, jak dziecko, czy jej nie obraził? Zabawny! Czegóż miała się obrażać? Lubi cukierki i chętnie przyjęła, ale trzeba było dla formy trochę się podrożyć.

To dziwne, że on taki nieśmiały i niewinny, jak panna, a jest przecież starszy od niej. Ma pewno ze trzydzieści lat, a zachowuje się tak, jak gdyby pierwszy raz widział kobietę i z nią rozmawiał.

A taki delikatny, nigdy nie wspomina o wydatkach, pieniądzach, o jedzeniu, o cenach... Płacił w cukierni za pięć osób, ani się skrzywił i musiał dać sufo garsonowi, bo tak nisko mu się kłaniano.

— Szczęśliwsza będzie jego żona, — westchnęła, — on nigdy nie żałowałby pieniędzy na kapelusz lub stroje.

Ale, że męża niema tak długo?

Spojrzała na zegar wskazujący blisko trzecią godzinę. Czyżby przytrafiło się jemu coś złego na budowie? A może zabałamucił się gdzieś na śniadaniu? On jest niezdolny z tą knajpą! Codziennie wieczorem idzie na piwo, a ją zostawia samą jedną. I w południe zachodzi na śniadania, traci pieniądze... Sobie niczego nie żałuje, bawi się, pije, hula z przyjaciółmi, a dla niej nie ma nawet na marny kapelusz!

Obrzydliwy! A przecież przed ślubem obiecywał złote góry, teatry, zabawy, suknie, klejnoty, i skończyło się na zaręczynowym pierścionku i złotym zegarku bez łańcuszka na szyję, jak teraz wszystkie panie noszą.

I wierz tu mężczyźnie! Wszyscy są kłamcy i oszukują kobiety, a on chyba najgorszy, bo wszystko przyrzekał, a nic nie dotrzymał.

O! i teraz... zamiast przyjść na obiad w oznaczonej porze, gdzie się bawi, a wie przecież, że ona czeka, że głodna, i jaki będzie ten obiad! Rozbratle się wysuszą, kartofle młode, które tyle kosztowały, zdębieją, a suflet opadnie.

On nie będzie jadł, będzie zły i pewno nie zechce pójść z nią na miasto, jak obiecywał... I czy jest nieszczęśliwsza kobieta na świecie?

Z wielkiego rozżalenia nad sobą zabłysły w oczach łzy i nagle opanował ją gniew. Poco ona czeka na niego? czy on wart tego? I jeszcze płacze! Będzie miała powieki czerwone, i jak będzie wyglądała na ulicy! Może ją społka Natalcia, jej przyjaciółka, i co sobie pomyśli? Podeszła szybko do lustra, ale nie było żadnego śladu łez. To ją uspokoiło i poszła do kuchni.

— Marcinowo, chyba pan nie przyjdzie?

— Co nie ma przyjść? — wzruszyła ramionami, — przyjdzie i wszystko będzie ganił. Czy to ja nie znam? Chłop czy pan, wszyscy oni jednacy. Nieporada z nimi, czekaj, źle; nie czekaj, źle!... Tamta z przeciwka już pozmywała i wolna sobie, a ty czekaj i czekaj, wszystko kiśnie, suszy się, marnieje... Niech pani chociaż zupy przelknie...

Odezwał się dzwonek w przedpokoju, sama pani pobięła otworzyć. W progu stał krępy, niski szafyn, w meloniku na głowie i jeszcze przeszukiwał kieszenie:

— Gdzieś mi się klucz zapodział od zatrzaśku, nie widziałas? — wszedł do przedpokoju i rozbierał się z zarzutki.

— Pewno zgubiłeś... czekałam na ciebie.

— Miałem interes do załatwienia, — a widząc dwa nakrycia w pokoju stołowym: — dlaczego nie jadłaś obiadu? Już po drugiej.

— Po drugiej? — powiedziała drwiąco, — już po trzeciej.